

ALFRED ARDEN.

# Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zas'rzeżone.

9

— Poznał nas?  
— Żartuje pan!? Był tam przecież po to, by nas widzieć... W pewnej chwili spotkały się nasze oczy. Obaj wiedzieliśmy dotrże, że się poznajemy. Tego wzroku nie zapomnę nigdy. Pamięta pan! tam, w Benares? W sali rózancj?

Spinelli wzdrgnął się, jakby pod przypomnieniem jakiejś strasznej zmyry.

— Potem podjechałem po państwa — ciągnął dalej Antonjo. — Musieliśmy koło niego przejeżdżać, chcąc wyjechać z placu... *I w tej chwili zdawało mi się, że Rama wyjmuję zegarek.* Uczulem, jak strach chwytą mnie za gardło i ostatnim wysiłkiem nerwów puściłem naprzód samochód. Zrozumiał pan teraz tę szaleńczą jazdę. Ostatecznie śmierć pod gruzami auta jest lepsza niż z ręki tego potwora...

— Masz plan? — przeciął Spinelli, strzepując niecierpliwie ręką.

— Ucieczka na nic się nie zda — ponuro odpowiedział szofer. — A zresztą, przyznam się, że mam już dosyć tego!...

— Zjavisz się u mnie na górze, zanim pójdziesz na spoczynek. Pomówimy! — zdecydował Spinelli. Był bardzo blady.

W tej chwili w bramie zazielenił się i zaszklili guzikami mundur listonosza.

— Depesza dla pana Carlo Spinelli! — oznajmił urzędnik.

— To ja, dziękuję panu — rzekł dyplomata, odbierając telegram i brzęcząc miedzią napiwku.

Rozerwał błękitny blankiet i przebiegł go szybko wzrokiem.

— Zdaje się, — powiedział wolno do szofera — że nasza wieczorna rozmowa stała się narazie zbyt cenna. Czytaj!...

Depesza brzmiała:

„Van Gelle, tak jak Goldoni i Silvas. Ramajoga we Florencji. Jutro przyjeżdżam. Aż do mego przyjazdu nie opuszczać domu. Ostrożność!... Nie tracić otuchy...  
Kalchas.

Siedziała w szerokim, aksamitnym fotelu otulona głębokim półmrokiem. Czuła się dziwnie sama w tym wiekim chłodnym pokoju, w towarzystwie tych starych, stylowych, uroczystych mebli, dla których musiała być przecież obcym i niepożądanym intruzem.

— Zły miał pomysł Karol — myślała — wprowadzając się do tego starożytnego pałacu. Zimno wieje z tych ścian mimo upalnego wieczoru... Kilka wieków jest pogrzebanych w tych murach. Jest to przybytek śmierci...

...Śmierci?... — wzdrgnęła się nagle. Skąd jej to przyszło na myśl?... Poczuła się dziwnie nieswojo.

Na ścianach konały właśnie w konwulsyjnych drgawkach ostatnie błyski wieczoru. Głębokie cienie chyłkiem wpełzały przez okna, podnosiły się z kątów pokoju, wychylały z ciężkich pofałdowań kotar i kładły się szerokimi pasmami na miękkim puchu dywanów, czepiały ram obrazów, czołgały po ścianach, niepokojące, groźne, złowieszcze.

Jakoś dziwnie ożywił się pokój. Marja miała wrażenie, że wiszące na ścianach stare, czerniałe portrety dostojnych matron, w białych, pofałdowanych kapuzach i rycerskich mężów, w czarnych, zawadjackich beretach patrzą na nią niechętnie i wrogo, zbudzone nagle z dziennego uśpienia. W drgawkach magicznych półcieni nabrały wyrazu ich twarze, krzywiąc się w niesamowitych uśmiechach, błyskając twardo nieruchomemi, a jednak żywymi oczyma. Zdawały się szeptać ku sobie jakieś niedostłyszalne uwagi, zmagając się tajemniczymi znakami, — cichy, bezdźwięczny spisek zmarłych przeciw żywym.

Miedzy ścianami zawisł dławiący, przeraźliwy niepokój... W ciemnych skupieniach portjer czaiła się groza. Marja wstrzymała niemal dech w piersiach, owładnięta niewytłomaczalnym lękiem, który zwałił się na nią głuchym, kamiennym ciężarem. Bała się zdradzić najlżejszym westchnieniem.

Za drzwiami zadzwieczał nagle tępo marmur schodów pod uderzeniami kroków. Zbliżały się one wolno, dziwnie wolno, jak krok przeznaczenia. Brzmiały jakoś głucho, ciężko, złowrogo...

Wreszcie rozwarły się drzwi. Stał w nich Spinelli. Nie widziała jego twarzy Marja, ale jego ruchy wydały się jej jakieś inne niż zazwyczaj: zmęczone i ociężałe.

— Muszę zostać sam — powiedział do niej nieswoim, jakby martwym głosem.

— Co ci jest Carlo?! — powstała pełna niepokoju.

— Czuję się chory. To reakcja nerwów na nasz dzisiejszy wypadek — próbował ją uspokoić.

Nie wierzyła mu.

— Głos brzmi ci tak dziwnie... Daj rękę. Drżysz cały... Co to ma znaczyć na Boga!?

Przez dłuższą chwilę zwlekał z odpowiedzią, jakby pasując się ze swemi myślami.

— Powiem ci zresztą prawdę — powiedział wreszcie — i tak ją ci miałem odślonić. Im stanie się to prędzej, tem lepiej...

...Ujrzałem zatem dzisiaj znak śmierci. Przeszłość wyciągnęła po mnie swe zachłanne dłonie, tak jak je wyciągnęła niedawno po Blankę... Być może, że będę musiał pójść jej śladem, wbrew swojej woli do życia. Będę się bronił... Będą mnie bronić inni... Ale muszę być przygotowany na wszystko... Mówię ci to, bo znam ciebie, co wiem, że spojrzysz dzielnie w oczy przeznaczeniu, tak jak ja to czynię, choć myśl o tobie każe mi drzeć o swe życie.

— Przerażasz mnie!

— Przrzeknij mi, że wysłuchasz odważnie tego co ci powiem.

— Przrzekam! — powiedziała, polykając łzy Marja i starając się nadać głosowi męskie i zdecydowane brzmienie.

— Więc słuchaj... W najbliższych kilku dniach rozstrzygną się ostatecznie me losy. Bądź w stronę życia, bądź śmierci... Jakkolwiek wszakże przechylili się szala, musisz się dowiedzieć przyczyn nieszczęścia, które

zabrało ci siostrę, a które teraz zawisło nademną, jak miecz Damoklesa. Pamiętajsz nasz pobyt w Indjach? Tam oto przed dwoma laty zawiązał się tragiczny węzeł na losach naszego życia, który włókł się za nami aż tutaj, pętając nam nogi, dławiąc nam gardła nieustannym strachem o życie. Twoja biedna siostra padła pierwszą ofiarą. Ja w przystępie desperackiego obłędu chciałem sam wyprzedzić przeznaczenie. Odratowano mnie — nie wiem czy mam powiedzieć „na szczęście“, czy „niestety“. Faktem jest, że drugi raz nie będę próbować tej drogi. Będę bronił mego życia dla siebie i dla ciebie. Przedewszystkiem dla ciebie... Obecność twoja dodaje mi tylko otuchy.

Przerwał na chwilę Spinelli zbliżając się do biurka i otwierając górną szufladę. Wyjął z niej grubą zeszyt w ciemnej, safianowej oprawie.

— Widzisz ten zeszyt? To mój pamiętnik, z ostatnich lat, który opowie ci wierniej, dokładniej, prawdziwiej ten straszny okres mego życia, niż ja bym potrafił to zrobić w tej chwili. Odtworzy ci tę ponurą tragedję, która się przewaliła w mej duszy i w duszy mych towarzyszy. Zrozumiesz wtedy wszystko, znajdziesz odpowiedzi na wszystkie pytania, które cię dotąd dręczyły...

— Karolu, — powiedziała z lekkim drżeniem głosu Marja — nie mogłabym zasnąć w tej chwili. Nie chciałabym cię zresztą opuścić w tym ciężkim momencie kryzysu, jaki ci również zapewne sen spędza z powiek. Weź zatem ten zeszyt i czytaj. Będę miała wrażenie, że słucham twej żywej i bezpośredniej spowiedzi, że towarzyszę ci w tragicznych przejściach, że w najgłośniejszych chwilach stoję jak duch opiekuńczy przy tobie.

Chwyciła go mocno za ręce, przyciskając je do swojej piersi. A potem splotły się ich usta, spoczywając w sobie długą, długą chwilę.

— — — — —  
Już jęły dopalać się gwiazdy na błędnym niebie, gdy w dostojnej ciszy portretowej sali rozbrzmiewał wciąż jeszcze matowy, głęboki głos męzki i szelest przewracanych kartek pamiętnika.

## CZEŚĆ DRUGA.

### Kartki z pamiętnika p. Karola Spinelli,

sekretarza poselstwa włoskiego w Warszawie.

#### ROZDZIAŁ V.

##### Na przedmieściu Benares.

Delhi, 12 stycznia.

...Więc wreszcie otrzymałem upragnioną i zdawna oczekiwaną odpowiedź. „Mogę ze spokojem oczekiwać nominacji“. Kochany wujaszek! Tylko jego wstawienictwu zawdzięczam, że tam na Piazza del Rotonda pospieszono się w tak wyjątkowy sposób. A zatem nareszcie odetchnę atmosferą Europy! Muszę się przyznać, że mam już dość Indji i tej czarnej, niewdzięcznej a odpowiedzialnej pracy na stanowisku konsula. Zresztą pierwszy sekretarz poselstwa włoskiego w Warszawie to jednak więcej, niż konsul włoski w Indjach, choćby tu w Delhi pod bokiem wicekróla.

Jakże się ucieszy Blanka! Będziemy mogli oznaczyć wreszcie termin ślubu. A przytem od dziś dnia robimy przygotowania do naszej projektowanej podróży. Byłoby zaiste skandale.n mieszkać jak ja przez półtora roku w Indjach i znać je tak powierzchownie, tak mało, tak bardzo mało od zewnętrznej strony. Nie chcę pomnażać szeregów tych Europejczyków, którzy tak tłumnie nawiedzają Indje, siedzą tu przez miesiące lub lata i nie widząc nic wracają do kraju, by tam po wykwinnych salonach opowiadać niestworzone brednie, wylęgle z sennych majaczeń i wzbudzać nerwowe dreszcze u kobiet, drapując się w egzotyczną togę...

Takiemu pierwszemu lepszemu turyście zdaje się, że poznał Indje na wylot, gdy objechał wygodnym sleepingiem Bombaj, Dżajpur, Delhi, Agrę, Kalkuttę, gdy zwiedził kilkadziesiąt świątyń, gdy obiegił kilkadziesiąt bazarów, gdy wpadł na dwa dni do Benares i gdy tam bohatercko poklepał jakąś świętą krowę... I zdaje mu się, że zgłębił wielką tajemnicę duszy Hindusa, gdy z otworzonymi ustami podziwiał kuglarskie sztuczki fakirów, gdy nasłuchiwał się niesamowitych bajek o rozpasanych i orgjastycznych sabbatach, wyprawianych ku uczczeniu Sziwy, i gdy przeprowadził dyskusję o kastach i metamorfozie z... brązowym „boyem“, który mu czyści buty w hotelu.

Ja chcę z tych Indji, w których tajemniczym łonie przelewają się niezbrane siły i kłębią węzowiska zagadek, ja chcę z nich poznać coś więcej. Chcę doirzeć do jądra tego wielkiego wulkanu, na którego skorupie siedzimy my Europejczycy. I siedzimy wstrząsani raz po raz złowieszczym pomrukiem żywiołu, w którym przeczuwamy potęgę, którego się ciągle lękamy, ale który jest nam czemś obcym, czemś tajemniczym, nieznanym.

Nie wiem czy mi się uda mój zamiar... Liczę tu na pomoc Antonja, którego już dawno posłałem na odpowiednie wywiady. Właśnie mi zaporował przedwczoraj, że poznał się z jakimś niezmiernie tu poważanym kapłanem, który za cenę dość sporego mieszkania (o! święty asceto! bądź błogosławiony!) ofiarował nam się z daleko idącą pomocą. Może uda się go nam nakłonić, by objął rolę naszego przewodnika i „guida“...

W każdym razie jedno jest pewne: jutro biorę dwumiesięczny urlop, który mi się słuszenie należy, a za kilka dni Delhi niech sobie oplakuje nasz odjazd! Na pierwszym planie mamy oczywiście Benares, tam trzeba będzie zatrzymać się dłużej. Koniec marszruty w Kalkucie, gdzie złożymy ojcu Blanki wizytę przed ostatecznem pożegnaniem Indji. Mój Boże! Jeszcze wczoraj nie spodziewałem się zgola, że tak szybko się wszystko ułoży.

A prawda: jutro mamy jeszcze bal u wicekróla. Blanka ma śpiewać. Prosiła ją o to dwa razy sama żona wicekróla. Mówią na ucho, że zabawa zapowiada się imponująco i ma przewyższyć przepychem wszystkie dotychczasowe bale reprezentacyjne o głowę. Ma to być odpowiedzią podobno na ostatnie rozruchy Bengalczyków w Kalkucie. Że niby to „Anglja stoi mocno na nogach“ tu w Indjach i może sobie zbagatelizować jakieś tam „niepoczytalne wybryki“. W rzeczywistości wszakże drżą na nich spodnie ze strachu. Czyż bal ten nie jest raczej podobny do zamaskowanej stypy pogrzebowej?

(Ciąg dalszy nastąpi).